





Dzieci TV

Andrzej Te

Jirafa Roja
Warszawa 2011

© Copyright by Andrzej Te, 2011

© Copyright by Jirafa Roja, 2011

Redakcja:	Hanna Kukwa
Korekta:	Hanna Kukwa
Łamanie:	Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Projekt okładki:	Andrzej Te
Druk i oprawa:	Fabryka Druku Sp. z o.o. www.fabrykadruku.com.pl

ISBN 978-83-61154-89-1

www.jirafaroja.pl

Wydanie I

Warszawa 2011



Spis treści

Bem Bergow Ani E	7
Bezplan	25
Dzieci TV — Suicie	35
Dzieci TV (kryzys)	47
Gówno. Prawda. (Że w niebie siedzą za niewinność)	57
Nawet gołębie popełniają samobójstwo	75
Nowa rzeczywistość Iksa Igreka	89
Sen dorosłości	105

I

Bem Bergow Ani E

Jednego sobie razu — la-la-la! — wychodzę na przechadzkę. Podążam parkiem... w jednej ręce smycz, na smyczy psiak, Mój mały i kochany Rudolf. W drugiej ręce panna, Moja prawie połowica. Tak oto idziemy, a pora jest jesienna, złota polska pora roku, kolorowe liście fru-fru, zwierzątka wspólne biegi i zabawa hał-hał z miał-miał, wietrzyk nosi liście na ramionach szuuuuuu! Nic a nic nie zakłóca harmonii (no, może Iwcia trochę gada za dużo, ale to drobiazg, bo Ją kocham) la-la-la...

Aż tu nagle! — zbliżamy się do mostu, pod mostem czarny tunel, słońce również czernieje, chmury burzowe, noc jakby idzie — ciemno.

Szuuuuuuu! — znowu wiatr.

W takim razie Ja: jak uważasz, pytam Rudolfa, wchodzić, nie wchodzić, sam właściwie nie wiem, bo... tam przecież jest tak **CZAR-NO**, chwytam się za głowę!

Słyszac te słowa i najwyraźniej pojmując ich sens i znaczenie, a co więcej, widząc wyraz zbolalej Mojej twarzy w chwili, gdy podkreślam groźny wyraz **CZAR-NO**, pies zaczyna skomleć, dreszcze jadą po nim jak TIRy po szosie, a w końcowej

fazie lęku Mój mały Rednołz gryzie się w ogon i gania w kółko, robi kółka, jak wąż czasu.

To coś ZNACZY — ten lęk + ta CZERŃ.

Zaraz patrzę na drugiego Mego towarzysza — kobietę; ona nic, dalej swoje gadu-gadu: pantofelki, torebki, kurteczka, spodenki, śniadanko, obiadek, albo nie (!), dieta, odchudzanie, sukces, kariera, pieniądze, ble-ble-ble.

Widzę, że nie mogę liczyć na ich radę, decyżę, cokolwiek (!), postanawiam: jestem dużym chłopcem, w duchy już nie wierzę, mam Iwonkę i zwierzaka do obrony, więc, śmiało!, idę w tunel.

Wtem!

Dochodzi Mnie odgłos. Odgłos... Jakiś od-głos. Dziwny ten od-głos, zauważa Iwona, faktyczne dziwny, rzucam jej odpowiedź i kucam, i drapię Rudolfa w ucho — słuchamy wszyscy: od-głos-od-głos, rytm pęta się po głowie. Jakby... Ktoś Coś klepie, Czymś klepie (?), w Coś klepie (?), pociera może... a może!

Nie bądźmy babami, mówię podnosząc w górę czaszkę, idziemy i szkoda w ogóle dalej o tym myśleć.

Jednak ruszamy z wolna, czaimy, myślimy dużo, spieszymy powoli. W końcu jesteśmy. Pod mostem, tuż-tuż, parę centymetrów, tunel, czyli strach, czyli CZERŃ.

Ostrożnie. Zaglądamy, patrzymy, oczy przyzwyczajamy do egipskich ciemności, uszy wsłuchane (od-głos-od-głos, jakby ktoś, siebie, sam, sobie!) a pies wacha, powieki spuszcza wach-wach; Ja mu pokazuję palcem, żeby tylko nie zaszczekał: ćśśjicho Rud, malutki; mądry jest, rozumie.

Wreszcie! — z oswojonej CZER-NI wyłania się kreska, jedna, druga, trzecia, cienie, kontur, grubsza krecha, wypełnienie, kształt, w końcu cała (**tajemna**) Postać.

Ojejku!, dyskretnie piszczy Iwonka, on przecież robi To, To robi, on robi, a zaraz szepcze Mi do ucha, że: a fuj!, i oszczędza swoim złotym oczom plugawego widoku.

Otóż! — ten, co pod mostem, w rozkroku, w kucki, z portkami przy kostkach, a kurtką pod brodę podwiniętą i tak trzymaną, znaczy, on, ta postać, ten mężczyzna, sam, siebie, macha ręką, z samym sobą, on, grrrrrrrr!, ktoś warczy, to ten człowiek jeszcze warczy (?), sam ze sobą i do tego warczy (?) — a nie, widzę — to jednak Rudolf.

Fuj.

Nawet pies nie może znieść niecodziennego widoku, podobnie jak Iwonka, robi dwa kroki w tył i kończy z nieczystą obserwacją. Za to Ja!

Ja oczu nie mogę oderwać od tego machania, od tej czynności, która niby zwykła, od której każdy chłopiec/mężczyzna zaczyna, a jak raz zacznie, to powtarza, z przerwami, lecz zawsze, w końcu, do tego wraca — czysta NATURA. Mimo to, napatrzeć się nie mogę, takie to we mnie wzbudza zainteresowanie, jakiś dziwny, już aNORMALNY pociąg. Bo czemu nie w domu?! Dlaczego ten człowiek musi zaspokajać się pod mostem, w miejscu publicznym, a nie u siebie, w łazience, pod prysznicem, w pokoju, pod kocem? Wielki ZNAK nad tym stawiam, nad sytuacją i nad głównym jej bohaterem:

?

...hmm, i widzę to, i głęboko myślę nad.

Trzaaaask! — gałązka, słyszę, pęka; słyszy to również Postać, sztywnieje, nieruchomieje, teraz to jego strach napada, łapie za gardło, dusi, tłamsi, wielkie oczy odrywają się od własnego cielska i — spostrzegają Mnie... a Ja nie wiem co mam... boże... za to on wie co, podciąga spodnie, zapina się i zwiewa aż się liście za nim niosą, krzycząc wstydem: ku!, ka!, chu!, jeb!, dziw!

Zbliżam się do miejsca zbrodni. Na czarnym żwirze biele się... tuż obok prostokąt kartki, równie białe, podnoszę ją

i sprawdzam: aaacha, myślę w duchu chowając wizytówkę w kieszeń spodni.

Płyną minuty, godziny, dni, czyli może razem...

Tydzień później

Wizytówka nie daje Mi spokoju. Myślę o niej, a przez nią o jej właścicielu, a przez właściciela o zajściu z parku: jak on mógł, kto to taki, czy go szukać, czy go znaleźć?! Myślę o tym tak intensywnie, iż tracę najbliższego Mego towarzysza... biedny, mały, słodki Rudolf ginie w tragicznych okolicznościach. Jedyne pocieszenie, jakie mam w śmierci najlepszego przyjaciela człowieka to takie, że psiak umarł jak przystało na prawdziwego mężczyznę — wykończył go większy i silniejszy od niego zły sąsiad, któremu Rud przez przypadek postawił śmierdziela w piwnicy, a tamten wszedł w to, poślizgnął, przewrócił i rękę złamał — łamaga, cieć zafajdany, morderca! (szczęśliwie sprawa znajduje finał w sądzie... już tam sąsiada obrońcy zwierząt, ha-ha... damy radę!, sądzę).

Na deser — porzuciła Mnie też kobieta, mówiąc: ty taki i owaki, o czym myślisz, ciągle myślisz, po co myślisz, zamiast robić, działać, kasa, sukces, hit sezonu, modny/niemodny, kocham/kochałam, sory i jeszcze więcej ble-ble, ale to puściłem między uszy, drzwi otworzyłem i Iwonkę grzecznie wypuściłem... taka mać, mości księżniczka burgunda!

Więc! — zostaję Sam, Sobie, Samemu, ze Sobą, hmm, jak tamten, myślę o gościu z tunelu, a mimowolny uśmiech wykluwa się na twarzy.

I wówczas! Naraz!

Mam PLAN, wypływam zacierając ręce, dobry plan, najlepszy jak na teraz...

4-8-7-3-2-1-8-9 — sygnał — wolny — dzwonię, czekam, nikt nie podnosi słuchawki, zerkam na zegarek: 21a z hakiem, no tak, czyli trochę późno, myślę odkładając słuchawkę. Na wizytówce mam też podany adres budynku, w którym pracuje Postać, czyli sz.p. **Majkel Dejwid Suzan**. Jutro myślę udać się tam i wyłożyć kawę na ławę, prosto z mostu spytać: Panie, ale czemu? Czemu pod mostem? Czemu akurat wtedy, kiedy szedłem Ja, Rudi i Iwcia? Czemu na spacerze, kiedy pogoda piękna, pachną kwiatki, szumią liście, rodziny z dziećmi i dzieci z zabawkami? A najważniejsze, to: dlaczego Ja się tym tak przejąłem, czemu Mną to tak owładnęło i nie chce dać spokoju? — tajemna siła? Może człowiek spod mostu to hipnotyzer, może czarodziej, a może Moje życie to bajka w takim razie? Nieważne — on wszystko Mi powie.

Kładę się do łóżka i natychmiast zasypiam myśląc o jutrze.

Stoję pod ambasadą przy kiosku. Wszystko, czego zdążyłem się dowiedzieć to to, że Majlkel jest pracownikiem ambasady obcego państwa, lecz na pewno ambasadorem nie jest. Portier powiedział Mi, że to jedna z osób pracujących nad jakimś ni-by-tajnym-niby-nietajnym projektem, który Unia Europejska przygotowuje właśnie z myślą o Polsce. Podobno chodzi o coś z wykupem gruntów, walką o ziemię, przejmowaniem małych rodzimych przedsiębiorców przez wielkich monopolistów zagranicznych i temu podobne bzdury, którymi częstują portierzy z pochodzenia chłopci w zamian za pięć dych. To wszystko nie ma dla Mnie znaczenia. Liczy się tylko to, bym mógł dostać się do pana Suzan i zadać mu pytania, które Sobie wczoraj przygotowałem. Rozmowa musi być jednak w cztery oczy, a z tym może być ciężko. Mój cel kończy robotę około godziny 17ej, czekam więc do tego czasu na przystanku autobusowym, z którego mam doskonały widok na główną bramę ambasady.

17:00 — punkt. Widzę go, zdaje się, to musi być on, jest idealnie punktualny, z czego wnoszę, że jest perfekcjonistą i nie